

Życie jest trochę ciekawsze, niż literatura

– rozmowa z Krzysztofem Szubzdą



fol. Bogumila Maleszewska-Oksztol

Dziennikarz, satyryk, konferansjer, pisarz, scenarzysta, reżyser filmowy – człowiek wielu talentów. Rozbraja uśmiechem, zaraża optymizmem, na świat patrzy ze „śmiertelnie poważnym humorem”. Opowiedział nam m.in. o tym, jak został literatem, co się kryje za maską śmiechu i jaką radę dał mu Krzysztof Zanussi.

Justyna Sawczuk: **Podobno „kilkunastosekundowe przytulanie poprawia funkcjonowanie układu odpornościowego, a nawet pomaga zwalczać drobne infekcje” – tak przynajmniej twierdzisz w swojej najnowszej książce *Mała księga przytulania i uścisków*, która powstała we współpracy ze znanym rysownikiem Edwardem Lutczynem. Jak doszło do realizacji tego dość nietypowego pomysłu?**

Krzysztof Szubzdą: Tutaj powinna pojawić się jakaś opowieść, o tym że ciągle myślałem o przytulaniu i postanowiłem o tym napisać książkę, ale prawda jest taka, że nie kryją się za tym żadne mitologiczne, niesamowite przeżycia. Po prostu pan Andrzej Kalinowski, prezes Fundacji Sąsiedzi, powiedział: „Napisz książkę o przytulaniu”, a ja jako człowiek, który bardzo lubi zlecenia, podjąłem się tego zadania.

Kiedy ktoś mi coś zleci, robię to szybko, natomiast kiedy sam coś zapla-

nuję, to się dłuży. Mam kilka autorskich pomysłów na pełnokrwistą powieść, ale zawsze zlecenia od innych wyprzedzają to, co chciałbym napisać. Dlatego książka o przytulaniu się jest, bo ktoś mi ją zlecił, a mojej własnej książki nie ma, bo sam sobie nie potrafię być szefem i zlecniodawcą.

A jak wyglądała współpraca z Edwardem Lutczynem – to w końcu człowiek-legenda.

Tak, to legenda i w tym miejscu też pewnie powinna być opowieść o tym, jak to spotkaliśmy się kiedyś w Warszawie przy kawie i wpadliśmy na pomysł, że można by połączyć jego obrazki z moimi tekstami, ale prawda jest znacznie mniej romantyczna, ponieważ nawet nie widziałem pana Edwarda Lutczyna.

No dobrze, ale skoro nie widzieliście się z panem Edwardem, to jak właściwie powstała *Mała księga przytulań i uścisków*?

Najpierw były rysunki – całe mnóstwo i próbowałem napisać do nich takie teksty, żeby się to trochę ze sobą gryzło, żeby obrazek i tekst były ze sobą w jakimś dialogu. Nie wiem, czy to jest prawidłowa kolejność, może powinno się najpierw pisać teksty, a później ilustrować? Taka była sytuacja, a nie inna, więc kiedy dostałem chyba z pół tysiąca, a może i tysiąc obrazków, to wydrukowałem je wszystkie, wyciąłem, rozłożyłem w salonie na podłodze i popatrzyłem w co to się składa.

Co na to żona? Cały salon zajęty...

Pomagała wycinać, niszczyła już zużyte ilustracje, zastanawiała się gdzie wkleić te nieużyte albo które są tak fajne, że szkoda by ich nie użyć w książce.

Także pan Edward przesłał obrazki, a ja starałem się z tego zrobić książkę.

To jest Twoja czwarta książka?

(śmiech) Nie mam pojęcia, jak to się u mnie liczy. Dawno, dawno temu, w zamierzchłej przeszłości pojawił się taki pan, który zlecił mi napisanie *Legend Białostockich*.

Mamy egzemplarz w Książnicy Podlaskiej.

Bardzo się cieszę, że są w Książnicy, bo sam nie wiem, czy bym znalazł w swoim domu. Była jeszcze jedna książka – *Co w prawie piszczy*.

Co w prawie piszczy – z wielkim humorem o prawie...

Tu jest wszystko jak najbardziej serio! Chciałem zrobić jakiś użytek z tego, że przez cztery lata męczyłem się na studiach prawniczych i podczas gdy inni szlifowali paragrafy, ja szukałem co dziwnego i niesamowitego w tych paragrafach jest, np. wyszukiwałem w kodeksie cywilnym zasady ugania się za uciekającym rojem pszczół – naprawdę jest coś takiego w polskim prawie. I właśnie w tej książce pisałem o tych różnych dziwactwach i zaskakujących meandrach.

Muszę zapytać o umieszczoną tu dedykację...

Tę dedykację napisałem wtedy, kiedy moja asertywność wynosiła minus sto, teraz moja asertywność wynosi zero, czyli kiedyś można mnie było namówić na wszystko, dziś na prawie wszystko, ale czasem mówię „Nie”. Pan wydawca kiedy zlecił mi napisanie tej książki, powiedział, że bym napisał jeszcze dedykację panu ministrowi Ziobrze – to jest taki kąśliwy tekst wobec pana ministra. Trochę jest mi niezręcznie, że go napisałem, dzisiaj już

bym tego nie zrobił. Nie dlatego, że nagle stałem się zwolennikiem czy miłośnikiem pana Ziobry, stałem się zwolennikiem tezy, żeby bez sensu nie określać się politycznie i nie brać udziału w cudzych wojenkach. Wtedy jeszcze tego nie umiałem. Na szczęście mój nowy wydawca, z tego co wiem, żadnych wojen nie toczy.

Krzysztofie, wróćmy do początków, czyli jak to się stało, że zacząłeś pisać?

Muszę powiedzieć, że długo nie zdawałem sobie sprawy z tego, że piszę. Cały czas myślałem, że to się dzieje tak trochę „z boku” i nie wiadomo po co, i nic z tego nie wynika. Zawsze byłem przekonany, że to moje pisanie nie ma zbyt dużego sensu.

Że nie ma to sensu ekonomicznego, to wiem nadal (śmiech), ale pomyślałem sobie, że ma sens taki... spełniający. Już mówię o co chodzi. Kiedy miałem pięć czy sześć lat, wymyślałem przeróżne wierszyki. Pamiętam, że w Polskim Radiu Białystok był program szaradziarski, gdzie się układało palindromy, kalambury i można było rozwiązywać językowe zagadki. Wpadłem na pomysł, że sam będę te zagadki wysyłał i sam je rozwiązywał, przez co zwiększę szanse na zdobycie głównej nagrody. I tak się bawiłem.

Później zacząłem pisać przy okazji pracy z kabaretem, następnie nawiązałem współpracę z domami pogrzebowymi i bardzo często pisałem mowy pogrzebowe albo nawet je wygłaszałem, ale też nie traktowałem tego poważnie. Kiedyś dostałem zlecenie, żeby napisać atlas grzybów – to też było jakieś pisanie, dalej dostałem zaproszenie od „Charakterów”, żeby pisać felietony do tego czasopisma i też myślałem, że to nie jest nic wielkiego.

Pewnego razu zdałem sobie sprawę, że napisałem ponad półtora tysiąca

tekstów do „Kuriera Porannego”, ponad tysiąc do „Charakterów” i dopiero kiedy te liczby stanęły mi przed oczyma, zdałem sobie sprawę, że cały czas piszę, więc może by się tego nie wstydzić, tylko pod tym pisaniem się podpisać.

Gdy zrobiłem rachunek sumienia, to pomyślałem, że to moje pisanie było trochę jak oddychanie. Nie zwracałem na nie uwagi.

Mnogość Twoich profesji zadziwia, a jednocześnie skłania mnie do zastanowienia się, z czego ta Twoja „(nad)aktywność” wynika. Mam kilka teorii: po pierwsze – cierpisz na nadpobudliwość.
Zgadzam się.

Jesteś ciekawski albo ciekawy świata.

To chyba komplement, więc też się zgadzam.

Bardzo się nudzisz w życiu.

Tak, zwłaszcza zimą. Im jest cieplej, tym jestem bardziej aktywny. Zimą popadam w stan hibernacji, ponieważ żyję głównie z prowadzenia imprez. W tym klimacie imprezy odbywają się głównie od kwietnia do września, więc ja od września do kwietnia popadam w lekką stagnację.

Tej zimy było jeszcze całkiem aktywnie, bo finalizuje się film *Czarna Dama*, dzisiaj jakiś dobry człowiek zlecił mi napisanie tekstu dla punkowego zespołu, więc mam co robić, ale już się boję o następną zimą, kiedy znowu moja aktywność trochę wygaśnie.

Pozwól, że wrócę jeszcze na chwilę do Twoich profesji – czy którąś z nich wspominasz z jakimś szczególnym sentymentem?

Z sentymentem wspominam okres grabarski – to naprawdę jest fajny odgromnik i antidotum, ale nie żałuję, że moja kariera nie rozwinęła się w tym kierunku. W moim zawodzie, czyli w zawodzie człowieka, który generalnie „pokazuje gębę” w telewizji i na scenach, gdzieś za plecami czai się takie niebezpieczeństwo, że „odbije palma”. I to jest naprawdę bardzo groźne i nie daj się zwieść, jeśli zobaczysz kogoś, kto występuje na scenach i wyda ci się bardzo sympatyczny. On jest sympatyczny, przez godzinę lub dwie, ale kiedy się zacznie z nim żyć na co dzień, to okazuje się, że nie można bezkarnie pokazywać się na scenie, słuchać braw i być normalnym człowiekiem.

Słyszałem, że w starożytnym Rzymie, kiedy wódz wracał z bitwy i cały Rzym go oklaskiwał, to z tyłu stał niewolnik i szeptał mu do ucha: „Pamiętaj, że jesteś tylko człowiekiem”. Więc moją rolę tego niewolnika, który szeptał, pełnił zawód grabarza. Kiedy po sukcesach Widelca [kabaretu, w którym występował Krzysztof Szubzda – przyp. Red.] moi koledzy szaleli w domu i oczekiwali od swoich żon i dzieci, że będą ich oklaskiwać, tak samo głośno jak publiczność na PACE [przegląd kabaretów – przyp. Red.], ja szedłem do zakładu pogrzebowego i dowiadywałem się o tym, że nie tylko sława jest ulotna, ale i ludzkie życie. Naprawdę czułem dzięki temu równowagę.

Czasem, gdy patrzę na życie wyjątkowo merkantylnie, to żałuję, że nie zostałem prawnikiem, zwłaszcza kiedy załatwiam różne sprawy u mojego kolegi notariusza i widzę, jakie to są taksy (śmiech), to myślę, że moje życie pewnie byłoby trochę prostsze, ale z drugiej strony – byłoby mniej ciekawe. W ogóle mam wrażenie, że w życiu cały czas trze-

ba wybierać między bezpieczeństwem a frajdą. Pewnie gdybym był notariuszem, to żyłbym bezpiecznie, ale może nie spotkałoby mnie tyle fascynujących rzeczy.

**A propos fascynujących rzeczy...
W książce *O życiu ze śmiertelnie poważnym humorem* serwujesz Czytelnikom zabawne felietony, śmieszne opowieści. Byłam przekonana, że te historie są zmyślone, do momentu gdy jedna z nich wydała mi się dziwnie znajoma...
Pytanie brzmi: ile zmyśliłeś?**

Ja mam poczucie, że nic nie zmyśliłem, wiele rzeczy musiałem „odpuścić”, ponieważ niektóre z nich są wręcz niewiarygodne. Kiedy zapytałem Kasię [żona Krzysztofa Szubzdy – przyp. Red.], czy mam napisać jak było, powiedziała: „Nie, nie pisz tak jak było, bo nikt ci nie uwierzy”.

Życie jest trochę ciekawsze, niż literatura, dlatego nie bardzo umiem zmyślać, ale to, co mi się przydarza, wydaje się z kolei zbyt kolorowe – wtedy muszę to troszeczkę „odbarwiać”. Jedyne co wymyślałem, to takie zabiegi dramaturgiczne – czasami musiałem akcję trochę zageścić, czasami musiałem trochę uprościć, ale nie ma w tej książce takich rzeczy, które by się nie wydarzyły.

Przydarza ci się zadziwiająca wręcz ilość takich śmiesznych, dziwnych, abstrakcyjnych sytuacji. Mam tu np. na myśli wybory miss zakładów mięsnych, opisywane w książce *O życiu ze śmiertelnie poważnym humorem*.

Świadkiem tego wydarzenia był jedynie mój kolega Jacek, który teraz przebywa w Norwegii. Rzeczywiście jest trochę dziwne, że mi się to wszystko przydarza. Do tego stopnia, że kiedy na



fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

przykład współpracowałem z kabaretem Hrabi i oni na własne oczy musieli niektóre moje przeżycia znosić, to po kilkunastu takich dziwnych zbiegach okoliczności, nietypowych przygodach, Darek Kamys spojrział mi zupełnie poważnie w oczy i powiedział: „Krzysiek, a ty nie myślałeś o tym, żeby się egzorcyzmować?”

Z drugiej strony myślę, że to jest trochę taka moja nadwrażliwość. Często bywa tak, że ja z kimś innym przeżywam jakąś historię, która temu komuś wydaje się całkiem zwyczajna, a później czyta mój tekst, gdzie opisałem tę przygodę i mówi: „O cholera, nie pomyślałem, że tak można na to spojrzeć”. Więc chyba istotna jest jeszcze umiejętność patrzenia takim przewrażliwionym okiem, która bardzo mi utrudnia życie, ale ułatwia pisanie.

Rozumiem, że znajomi opisani w tej książce się rozpoznali – czy ktoś miał Ci za złe, że stał się bohaterem Twojej opowieści albo

szczególnie się z tego powodu ucieszył?

Po tej książce ludzie uważniej ze mną rozmawiają, choć pisząc o kimś, starałem się zacierać ślady. Jeżeli plotkowałem o kimś bardzo bliskim, to zmieniałem mu imię albo z kogoś bliższego robiłem kogoś dalszego – wszystko po to, żeby jednak za bardzo nie szkodzić swoim znajomym. Często się odnoszę do rodziny, dużo piszę o rodzicach, ale nie zgłaszali mi żadnych uwag, więc chyba nie mają mi tego za złe.

W jednym z wywiadów powiedziałeś: „Ostatnio dostałem zamówienie od warszawskiego teatru, żeby spróbować napisać sztukę teatralną zupełnie na serio. I zrobiłem to, w 100 procentach na serio. I tak była traktowana, dopóki ktoś nie wygooglował kim jest Krzysztof Szubzda. Jak to się stało, momentalnie w tej sztuce dostrzeżono ele-

menty farsy. Żartuję, że jakbym się nawet podpisał pod jakimś mniej znanym dziełem Dostojewskiego, to mogłoby się okazać, że to jest niezła satyra. Mówię to trochę z bólem, ale wiem, że tak działa świat”. Rzeczywiście boli Cię to, że przylgnęła do Ciebie łatka satyryka?

Na początku bardzo mi pomagała, więc nie chciałbym udawać kogoś, kto ma tylko kłopoty z tą łatką, bo wynika z tego dużo pozytywnych rzeczy, ale też dosyć często mi przeszkadza. Na przykład kiedy zaczynałem karierę w telewizji, to ten mój garb kabaretowy był utrudnieniem, bo zastanawiano się, czy ja nie zrobię czegoś dziwnego, czy np. nie zdejmę spodni i nie pokażę tyłka na wizji.

Byłeś postrzegany jako osoba nieprzewidywalna?

Tak, mam wrażenie, że moja telewizyjna koleżanka Magda Gołaszewska miała mnie pilnować i pociągnąć za



fol. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

ucho w razie czego, ale fajnie się zgra-
liśmy. Magda mnie trochę utemperowa-
ła, a ja ją troszkę „odtemperowałem”
i staliśmy się taką parą, która przesiąkała
bardzo twórczo sobą nawzajem i dzie-
ki tej przygodzie Magda może teraz
prowadzić Dni Augustowa, a ja mogę
prowadzić galę w operze – poszerzyło
nam się spektrum działania dzięki tej
współpracy.

Są sytuacje, w których bywasz po- ważny?

Ja w ogóle jestem coraz bardziej
poważny i coraz częściej wypowiadam
się poważnie, i teksty, które piszę np. do
„Kurierza Porannego” są czasami bardzo
poważne, a kto jak je potraktuje, to już
troszkę nie moja rzecz.

W domu, prywatnie, lubię być po-
ważny i często jestem. Gdyby tu była
moja córka i dowiedziała się, że ja je-
stem jakkolwiek kojarzony z czymś
śmiesznym, to by się załamała, bo uważa,
że jestem brutalnie, siermiężnie, niewy-
obraźalnie poważny. Bardzo się cieszę,
że jest takie nowe pokolenie, które nie

zna mojej kabaretowej przeszłości i kiedy
np. prowadzę dla nich warsztaty albo za-
jęcia dziennikarskie, to oni wręcz są zdzi-
wieni, skąd u mnie tyle humoru.

Drażę ten temat powagi i śmiesz- ności, bo często zdarza mi się wi- dzieć, że ludzie coś za tą śmiesz- nością ukrywają – jakiś rodzaj wrażliwości, uważności na świat, coś o czym boją się lub nie umieją mówić wprost.

Doskonale wiemy, że humor to je-
den z mechanizmów obronnych. Kawal
życia przeżyłem wśród kabareciarzy
i jestem przekonany, że każdy z nich ma
jakąś mroczną stronę, jakąś traumę, ja-
kieś przeżycie, od którego ucieka właśnie
w humor.

Kiedyś spędziłem całą noc w busie
z Robertem Górskim. Żeby była jasność
– ograniczyliśmy się do spożywania
(śmiech). Pomyślałem sobie, że skoro
jesteśmy sam na sam i możemy o wszyst-
kim pogadać, to może uda mi się do niego
dotrzeć i porozmawiać poważnie o tym,
co się w nim kryje. I okazuje się, że on tak

perfekcyjnie opanował sztukę uciekania
w humor, że wszystkie moje dociekania,
dotyczące np. rodziny zamieniał na kaba-
retowe perełeczki.

Nie wszystkie rzeczy mogę zdra-
dzać, ale np. Irek Krosny jest absolwen-
tem teologii, kabaret Mumio ma wspólnego
spowiednika. To są ludzie, którzy
w duchowy sposób przeżywają życie.
Sam fakt, że podejmują decyzje po kon-
sultacji ze swoim kapelanem kabareto-
wym, pokazuje, że to jest jakiś zupełnie
inny świat. Oczywiście nie ukrywam,
że jest sporo ludzi, którzy piją i robią róż-
ne głupie rzeczy, ale często widzę, że ten
humor jest wspomnianym już mechani-
zmem obronnym, pod którym chowają
się bardzo różne problemy.

W takim razie, co ukrywa Krzysz- tof Szubzda?

(śmiech) No właśnie ukrywa to po to,
żeby nie mówić. Na pewno ukrywam spo-
rą nieśmiałość. Nie wiem, jak to się stało,
że taka nieśmiała osoba musi się mierzyć
ze sceną. Zauważyłem, że spotkanie stoli-
kowe, trzy-, czteroosobowe mnie stresu-

je, natomiast mówienie do Atlas Areny, gdzie siedzą tysiące osób jest dla mnie zupełnie naturalnym przeżyciem, bo mam wrażenie, że tam siedzi jeden osobnik, który w pewnym rytmie oddycha. Ja rozumiem tę masę, która czeka, wchodzi w jakiś nastrój, nudzi się itd.

Po drugie zawsze mam poczucie, że to jest za mało i ciągle jestem trochę na siebie zły. To też jest wada. Ta nieśmiałość i poczucie niespełnienia, może nawet pewnej gorszości mnie przesładowuje. Cały czas mam potrzebę udowodnienia czegoś. To wszystko chowam za humorem.

A z czego Krzysztof Szubzda, nigdy w życiu by nie zażartował?

Kiedyś zapytano Abelarda Gizę, z czego by nie zażartował. I Abelard Giza powiedział, że m.in. z chorych dzieci, z pedofilii, z tragedii smoleńskiej, z Holokaustu. Wtedy pomyślałem sobie, że zrobię stand-up oparty na tych właśnie punktach. I zrobiłem. Teraz już wiem, że nie powinno się z tego żartować.

Kiedy nie zajmujesz się pisaniem książek, występowaniem przed kamerą lub prowadzeniem jakiejś imprezy, to albo robisz filmy, albo uczysz się języka chińskiego, albo kaligrafujesz na chodniku.

To o czym mówimy, o filmie czy o kaligrafii?

Zacznijmy od kaligrafii i języka chińskiego, bo to jest – mam wrażenie – ciągle coś egzotycznego w naszym kraju.

Interesuje mnie nie tylko język polski, fascynuje mnie język w ogóle. Kiedy wylądowałem z moją żoną Kasią w Chinach, nie mogłem nie zachłysnąć się tym językiem i okazuje się, że chiński to feno-

menalny, przyjazny, cudowny, niezwykle język.

Mam problem z chińskim w wersji mówionej, ponieważ to jest język tonalny – w zależności od tego, czy mówimy wysoko, nisko, opadająco czy wznosząco, nasz przekaz zmienia treść. W tym jestem słaby i „odpadam”, natomiast znaki nie przestają mnie fascynować.

Na przykład w znaku „dobro” jest połączona „kobieta” i „dziecko”, pomiędzy kobietą i dzieckiem jest dobro – tak się to przynajmniej wyobraża w Chinach, w „miłości” jest „przyjaźń”, „pazur” i „dach”, czyli jakaś namiętność, jakaś bliskość i intymność pod dachem. Tych znaków jest około ośmiu tysięcy. Ja opnowałem zaledwie tysiąc.

Uspakajam się kaligrafując. Czasem, kiedy brakuje mi pędzli i farb, rysuję znaki na stoliku, na swoim udzie, na plecach Kasi, kiedy się do niej przytulam. Rozluźnia mnie to.

Zbliża się premiera kolejnej części Twojego filmu Czarna Dama. Jak narodził się ten projekt?

Pomysł na nakręcenie filmu pojawił się jakieś trzy lata temu. Chodziło o to, żeby białostoczanie, białostockimi rękoma, białostoczanom opowiedzieli o Białymstoku. O tym pięknym, niezwykle, czarującym, legendarnym Białymstoku sprzed II wojny światowej. O mieście, które troszeczkę zniknęło, a ciągle jeszcze żyje, nie tylko w naszych wspomnieniach, ale gdzieś resztki tego miasta widzimy w naszej architekturze.

Pomyślałem sobie, że fajnie byłoby obudzić w nas dumę z tego miasta, które jeszcze tak niedawno tętniło gwarem różnych narodów, fabrycznymi kominami, przedziałnianymi zgiefkami, biednymi tkaczkami i szemranymi Chanajkami, wystawnym Ritzem itd. Z przyjemnością

zanurzyłem się w tym dwudziestolecu międzywojennym z panem Wiesławem Wróblem i panem Andrzejem Lechowskim, i oczywiście z całą masą gazet z tamtych czasów. Tak wyczarowaliśmy opowieść o Czarnej Damie, która jest autentyczną historią.

Otóż w przedwojennym Białymstoku, w latach dwudziestych miasto żyło w strachu. Młodzi mężczyźni bali się wyjść z domów, ponieważ czyhała w okolicach kina Apollo morderczyni.

W związku z tym, że o tej postaci, i o całej historii niewiele wiadomo, jako autor scenariusza mogłem w te wszystkie niewiadome poupychać swoją wyobraźnię. Trafiłem na masę fantastycznych ludzi, którzy – jak to mówią Rosjanie – „na entuzjazmie” nakręcili ten film. Trwało to bardzo długo. Wiem, że w tym czasie nakręcono *Grę o tron* – trzy sezony, my nakręciliśmy tylko dwie godziny (śmiech).

Bąłem się, że jak będę pisał powieść, to zawsze będę skazany na oklepiane szlagworty typu: „powiedział Janusz”, „odparła Aneta i otarła łzę” itd. Ja wiem, że to można zrobić w arcymistrzowski sposób, ale zawsze miałem z tym problem, natomiast w scenariuszu język opisu jest mniej potrzebny, bo są tam techniczne didaskalia. O wiele ważniejszą rzeczą jest dialogowanie i tutaj jako „pan z kabaretu”, a kabaret głównie polega na dialogach, czułem że sobie poradzę.

Adam Woronowicz zagra tam rolę białostockiego właściciela domu uciech przy ul. Krakowskiej 1, pan Andrzej Beja-Zaborski zgodził się zagrać rolę Kawelina, jest też pan Krzysztof Dzierma, pan Ryszard Doliński, pan Dariusz Szada-Borzyszkowski.

Na początku chcieliśmy, żeby żydowskie postaci rozmawiały w filmie po polsku, ale znaleźliśmy w Stanach Zjednoczonych sędziwą staruszkę, która spędziła

dzieciństwo w Białymstoku i pamięta jeszcze tę białostocką odmianę jidysz. Poprosiliśmy ją o tłumaczenie dialogów naszych filmowych Żydów właśnie na ten dialekt – który razem z nią pewnie odejdzie. Więc bardzo się cieszę, że to powstaje i będę mógł to niebawem Państwu pokazać.

Krzysztofie, wielokrotnie się przyznałeś – co gorsza dziennikarzom – że w Twojej głowie rodzi się fabuła, o czym więc miałyby być Twoja książka?

Tych fabuł jest kilka i one cały czas się we mnie rodzą. Jedna fabuła, to jest taka moja rozliczeniowa fabuła, czyli książka dziejąca się w latach 80. w Białymstoku na Wygodzie, gdzie w taki fanaberyjny sposób chciałem pomieszać solidarnościową martyrologię z wygłupami młodych chłopaków. To się bierze stąd, że kiedy był ten cały karnawał Solidarności, ja byłem jakimś ośmio-, dziesięcioletnim chłopakiem i patrzyłem na to wszystko z trochę innej perspektywy, i chciałem właśnie o tym napisać.

Druga fabuła, która też się rodzi i miała przybrać formę filmową, dotyczy kombinatu Fasty, którym byłem kiedyś zafascynowany. Spędziłem sporo czasu robiąc research tego tematu i tę książkę też tak dłubię każdego dnia po trochu.

Dostałem też zamówienie, żeby napisać horror, ale film. Bardzo nie lubię

horrorów, drażni mnie ta formuła, ale pomyślałem: „No dobra, ale gdybym miał to zrobić po swojemu, to jak bym to zrobił?”. I napisałem. Jak tylko przyniosłem ten horror do moich chłopaków od filmu, powiedzieli: „Super, ale nie możemy tego zrobić”, bo to jest horror, gdzie ścierają się dwie przeciwstawne siły – żołnierze wyklęci i białoruskie szeptuchy. To wszystko się dzieje w malutkiej wsi na Podlasiu i jest napięcie, ale wiem, że znowu wsadziłem kij w mrowisko...

Mam też napisaną fabułę komedii romantycznej. Pisałem to dla wydawnictwa filmowego, które jednak uznało, że coś tam jest nie tak. Nie wiedziałem co z tym materiałem zrobić, więc wpadłem na pomysł, że roześlę to do wszystkich wytwórni filmowych – może ktoś jakoś zareaguje. Jediną osobą, która zareagowała był pan Krzysztof Zanussi, który zadzwonił i powiedział: „Błagam, chcę na własne oczy zobaczyć człowieka, który wysłał mi komedię romantyczną”. No i spotkałem się z nim.

To było niesamowite, bo pan Zanussi przyjmował swoich gości w takim korytarzu i najpierw przepięknym rosyjskim rozmawiał z jakimś współpracownikiem, potem przyszedł kolejny gość z którym pan Krzysztof przeszedł na włoski. W międzyczasie do drzwi zaczął się dobijać ktoś inny i pan Krzysztof poprosił mnie, żeby otworzył. Otworzyłem

i zobaczyłem po raz pierwszy w życiu pana Machulskiego, który przyszedł do niego z wizytą. Wreszcie pan Krzysztof porozmawiał sobie trochę ze mną i powiedział, że czuł się w obowiązku, jako starszy kolega, przestrzec mnie, żebym napisał coś, o czym jeszcze nie wiemy, a nie coś o czym wiemy wszyscy. Powiedział też, że gdybym kiedyś poszedł w jakąś ponadgatunkową strefę, to chętnie by jeszcze raz ze mną porozmawiał.

Pan Krzysztof Zanussi twierdzi, że całe kino gatunkowe jest „do luzu”, że kino autorskie, twórcze jest fajne. Więc kiedy go zapytałem o takie kino gatunkowe jak *Imię róży*, powiedział: „Oglądałem ten film, patrząc ile tam jest tęsknoty za Arystotelesem”. I wtedy pomyślałem sobie: „Jak innymi oczyma można patrzeć na taki rasowy, fajny kryminał”.

Rozmowa jest zapisem fragmentu spotkania autorskiego, zorganizowanego 7.02.2020 r. w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, w ramach IV edycji Festiwalu Literackiego „Autorzy i książki. Podlaskie podsumowanie”.

IV Festiwal Literacki „Autorzy i książki. Podlaskie podsumowanie” dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

KRZYSZTOF SZUBZDA

– z wykształcenia prawnik, z doświadczenia kabareciarz (kabarety: Widelec i Hrabi) oraz dziennikarz: radiowy, prasowy i telewizyjny (PR Trójka, „Kurier Poranny”, „Charaktery”, TVP), ale przede wszystkim konferansjer z coraz dłuższym

stażem. Ostatnio scenarzysta i reżyser filmowy (*Czarna Dama*) i sceniczny (teatralizowane gale i wydarzenia w Operze i Filharmonii Podlaskiej) oraz autor książek, m.in. *O życiu ze śmiertelnie poważnym humorem*, *Mała księga przytulań i uścisków*.